

John Barth  
Opowiadać dalej

Opowiadania

Przełożył i postowiem opatrzył  
Maciej Świerkocki

Państwowy Instytut Wydawniczy

$$„\Delta p \Delta q \geq \frac{\hbar}{2}”$$

Werner Heisenberg

„...prawa narracji... są równie nieubłagane jak prawa fizyki, choć nie można ich istnienia potwierdzić doświadczalnie z taką samą precyzją”.

Scholes i Kellogg, *The Nature of Narrative*

## *Recepcja*

A więc – po długiej i wyczerpującej, choć ekscytującej podróży (zbyt krótkiej jednak dla tych z nas, którzy nie spieszą się do miejsca przeznaczenia) meldują się w recepcji, jak mieli zaszczyt czynić minionymi laty w wielu miłych, a niekiedy nawet wspaniałych miejscach. Pokój jest czysty, ładny i wygodny, choć nie luksusowy – dokładnie taki, o jaki im chodziło. Podwójne łóżko, mała, dobrze zaopatrzona lodówka, a ciśnienie wody w prysznicu duże nawet wtedy, kiedy wszyscy mieszkańcy kąpią się przed obiadem jednocześnie. Z balkonu na najwyższym, drugim piętrze roztacza się piękny widok na przyległy teren, plażę i ocean – balkon znajduje się na tyle wysoko, że zapewnia gościom wspaniałe widoki i poczucie odosobnienia, ale jeszcze nie zawroty głowy – poza tym owiewają go balsamiczne pasaty. Wszystko jest bardziej niż odpowiednie – myśleli, że takie właśnie miejsce będzie idealne, by mogli robić to, o czym teraz myślą.

Chociaż, co zrozumiałe, czują się rozdarci, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami nie zabierają się od razu do rzeczy. Zostało jeszcze dosyć popołudnia, żeby przejść się po kiczowatej okolicy – jak uważają, opatrzonej, należącej jednak do ich ulubionych widoków: do kiczu Rajów Tropikalnych. Niełatwo przyszło im zdecydować, choć w przeszłości bywało o wiele trudniej, czy przyjechać tutaj, czy raczej wybrać jakąś „bardziej realną” scenerię z tych, które sobie ukochali – na przykład Iberię, Umbrię, surową Alaskę albo spokojną zatokę Chesapeake – czy też może po prostu zostać w domu, gdzie pracowali, bawili się i kochali przez tak (nie)wiele lat.

– Czy żałują, że tu przyjechali?

Nie, a w każdym razie jeszcze nie – żałują tylko tego, na co im przyszło.

– Powiadam ci, ona na razie nie będzie zanurzać się w matczynych wodach oceanu.

A zatem on też nie, jak sądzi.

– Cóż zatem będą robić?

Dobre pytanie. Istnieje niebezpieczeństwo, że nastrój pryśnie, ale wracają do pokoju, który wydaje im się już gościnnie znajomy. Kończą się rozpakowywać i rozkładać swoje rzeczy, a potem postanawiają, choć żadne z nich nie jest zbyt głodne, że tego wieczoru zjedzą obiad w głównej restauracji, nie zaś w jednym z kilku innych pawilonów, serwujących rozmaite „potrawy regio-

nalne” – głównie dlatego, żeby poczuć atmosferę miejsca i przyjrzeć się reszcie gości, niewinnym urlopowiczom, jak można przypuszczać, którymi i oni byli kiedyś, dawno, dawno temu.

– Za domniemaną niewinność.

I za te dawne, dawne czasy. Kiedy nasza para rozbiera się, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed obiadem, od strony zielonych wzgórz, leżących za „kurortem ich ostatniej szansy”, nadciąga wczesnowieczorny szkwał, który przetacza się teraz dalej, nad morze. Jak czasem bywa w podobnie przytulnych okolicznościach (przypomnijcie sobie, co pisał doktor Freud na temat działającego niby afrodyzjak plusku spadającej wody, pomyślcie o Dydonie i Eneaszu, tulących się do siebie w kartagińskiej jaskini podczas burzy, o kochankach pod fontannami Rzymu albo w kabinach motelowych pryszniców i o nowożeńcach nad Niagarą), okazuje się po chwili, że po raz nie wiadomo który uprawiają wielką miłość – hm, w każdym razie miłość, na wielkim, ale już nie równiutko zasłanym łóżku – chichocząc, zaciśniętymi dłońmi tamując łzy, a po chwili pomrukując i wzdychając, już rozkosznie zmęczeni i mokrzy od potu, przyłgnęli do siebie, skóra do skóry.

Po chwili: – Kolejność wydarzeń jest niewłaściwa. Muszą znów iść pod prysznic.

Zdaniem narratora teraz mają się znów wykapać – i rzeczywiście, niebawem biorą prysznic. Kolejność wydarzeń nie jest bez znaczenia, choć nie taka ważna, a w każdym razie nie kluczowa wobec ostatniego punktu programu.

– Zgoda.

Weźmy na przykład jego ostatnie zdanie – „Kolejność wydarzeń” i tak dalej – i dokonajmy możliwych permutacji jego członów, zaczynając na przykład od „Wobec ostatniego punktu programu” albo od „Choć nie taka ważna”; będzie wiedziała, o co mu chodzi.

Ciepło, a nawet nostalgicznie: – Lubi sobie czasem „wziąć na przykład jakieś zdanie”, prawda?

Tak, owszem. Jak tam jej apetyt?

– Już lepiej.

A więc na obiad, raczej zamyśleni niż rozba-  
wieni, choć atakują potężny bufet z większym  
zapałem, niż można by się spodziewać, i niczym  
naprawdę niewinni urlopowicze gawędzą przy-  
jaźnie z przypadkowymi sąsiadami przy stole  
(wedle miejscowego zwyczaju tak sadza się tu-  
taj gości). Wypijają nawet karafkę firmowego  
wina, co w tym miejscu ich narrator uznaje za  
dopuszczalne.

– To dobry omen.

Natychmiast zdają sobie sprawę, że to fał-  
szywy krok – nie, nie konsumpcja wina, lecz ta  
ironiczna uwaga, rzucona przez nią swobodnie

w chwili, kiedy wychodzą z wielkiej, przewiewnej, bezpretensjonalnej jadalni. Inni goście, w tym prawdopodobnie także ich niewinni sąsiedzi od stołu, rozeszli się już wcześniej – pospacerować po plaży, spalić obiad na dyskotekowym parkiecie pod gołym niebem albo zająć jak najlepsze miejsca przed mającą się wkrótce rozpocząć nocną rewią kabaretową. Naszej parze jednak nigdzie się nie spieszy, ani trochę, pozwoliliśmy im więc posiedzieć dłużej nad ostatnim kieliszkiem całkiem przyzwoitego beaujolais. Jednak na słowo „omen” zrobiło im się ciężko na duszy. Wyciągnijmy ich stamtąd.

– Jest już gotowa.

I to na wszystko. Ale on nie chce wracać do pokoju: „Tam mieszkają smoki”, jak głoszą stare mapy. Rozpoczynają spacer nadmorskim bulwarem pośród kazuaryn i klekoczących palm kokosowych, ale jedno z nich, powiedzmy, nie ma siły. Do końca bulwaru jest jeszcze dość daleko, gdy ona przystaje przy zwróconej ku morzu ławce, siada, pociąga go za sobą, całuje w rękę i uśmiecha się.

– To jednak był dobry znak, wino i przyjemność, jaką im sprawiło. Ich zakończenie dobrze się zaczyna.

Słowa więzną w gardle. W odpowiedzi wtula twarz w jej dłoń.

Po chwili: – A może opowie jej jakąś historię?

Ach, jasne. Racja.

– Obietnica to obietnica.

To obietnica. A jeśli opowie jej jakąś historię, to potem...?

– Żadnych obietnic.

Przypuszcza, że to najlepszy układ, jaki jest w tej chwili skłonny zawrzeć. Jednak do końca gra na zwłokę, toteż namawia ją, żeby wrócili pomiędzy aromatycznymi oleandrami i pozbawionymi zapachu, ale niezastąpionymi pnączami tropikalnymi i krzakami hibiskusów – czy hibiskusowymi?

– Hibiskusa.

– do swojej wilegiatury, swojej willi, na swoje piętro, do swojego pokoju, na balkon lub łóżko (wybór należy do niej), jeśli chce, żeby coś jej opowiedział. Po drodze przypomina, że nie jest ani Homerem, ani nawet wujaszkiem Remusem...\*; jeżeli chce wysłuchać jakiejś opowieści, to coś jej przeczyta... Przecież zawsze czytali sobie opowiadania... choć tu urywa się więź pomiędzy jego obowiązkami zawodowymi i tradycją literatury oralnej.

---

\* Wujaszek Remus – narrator książek Joela Chandlera Harrisa (1848–1908), stary, dobroduszny Murzyn, gawędziarz, opowiadający głównie pełne humoru bajki o zwierzętach (przypisy tłumacza).



– Jest zbyt zmachana, żeby się z nim spierać.  
Amen.

Po chwili: – Są na miejscu.

Więc zaczynamy. Zgadza się, że opowiadający...

– On i się zgadzają.

Zgadza się, że opowiadający może się zdrzemnąć w dowolnym momencie opowiadania. Ledwie rusza tyłkiem ze zmęczenia.

– W jej oczach jego tyłek jest jak księżyc w pełni. A skoro już mu się przyglądamy, to popatrz tylko na ten księżyc.

I następny, następny i następny.

– Przestań.

Przepraszam.

– Zgadza się też, że słuchaczka...

Oni. Nie ma o czym mówić.

– Więc mów, mój najdroższy, najlepszy przyjacielu: „Dawno, dawno temu”, i tak dalej.

Pierwsza opowieść zbioru?

– Nie licz na to. Na nic nie licz. Opowiadaj dalej, dobra?